

214

"Pieszko" na jubileusz Teatru Ludowego

NOWOHUCKI TEATR LUDOWY na swoje 30-lecie wystawił „Pieszko” Sławomira Mrożka. Premiera prasowa miała uroczystą oprawę: okolicznościowe przemówienia, odznaczenia, kwiaty. Jak to zwykle u nas bywa. Krakowska prasa przypomniała historię teatru, trochę nawet heroiczną, wspominała poprzednich dyrektorów: Skuszanke, Szajnę, Irenę Babel, Krygiera, Filipskiego, wyliczyła sukcesy obecnego dyrektora, Giżyckiego. Odbyło się. Wróciły już dni powszednie teatru.

A dlaczego „Pieszko” na jubileusz? Może dlatego, że z propagandowej radości budownictwa socjalistycznego pierwszych lat powojennych, tak drapieżnie i groteskowo ukazanej w trzeciej części sztuki, wyłoniła się Nowa Huta? Może dlatego, że nie tak daleko stąd, w Borzęcinie, urodził się ironiczny piewca naszej rzeczywistości, Mrozek? Zostawmy zarty.

Dobrze, że w programie teatralnym zacytowano fragment wypowiedzi Mrożka z 1981 roku: *My nie chcemy stwarzać historii nikomu. Wystarczy nam własna, ale naprawdę własna, to znaczy przez nas samych stwarzana. Wystarczy nam to, co się należy każdemu: być sobą.*

W sukurs dyrektorowi Giżyckiemu przy wystawianiu „Pieszko” pospieszyli jubileuszowo trzej inni dyrektorzy: Mikołaj Grabowski (do niedawna dyrektor Teatru im. Słowackiego), Kazimierz Wiśniak (kierownik artystyczny „Bagateli”), Stanisław Radwan (dyrektor Starego Teatru).

Owszem, powstało z tej teatralnej konfederacji jedno z najlepszych przedstawień w Teatrze Ludowym w ciągu ostatnich lat. Może nie tak świetne, nie tak drapieżne, jak „Pieszko” sprzed pięciu lat w warszawskim Teatrze Dramatycznym, w reżyserii Jerzego Jarockiego. Ale wtedy były inne czasy i inni aktorzy na scenie. Na warszawskiej scenie było autentyczne błoto, błoto też wychodziło równym prostokątem ujętym w ramę w widownię. Z tego właśnie prostokąta wlał ciężko na scenę Zapasiewicz w roli Ojca. Gruby jakiś, kanciasty, zmordowany, uosabiający wyrażenie zmęczenia i zagubienie, mądrość i spodlenie wojennego wędrowania. Tutaj nie ma błota.

Ojca gra **Tadeusz Szaniecki**. Jest jakby z większej bryły, cieplejszy, bardziej swojski, intymniejszy, ściszony. Świetna rola tego wiernego Teatrowi Ludowemu aktora. Dobrze mu towarzyszy **Grzegorz Forysiak** w roli Syna. Zależniony czternasto-latek, ale bezpieczny przy boku Ojca, zielony życiowo, lecz chłonący chwicie przewalając się przed jego oczyma groźną rzeczywistość, dojrzwiający gwałtownie do jej rozumienia. Bardzo dobra ich scena z niemą, wysoką, łysogłową postacią w długim szynelu, późniejszym Grajkim, także scena z drugiego aktu, kiedy wszyscy się stowarzyszają w krótkotrwałej wisielczej euforii, kiedy Ojciec ku przerażeniu Syna dobiera się w pijanym widzie do Baby, aby po chwili oprzytomnieć, bronić Syna przed Drabem i biec w kierunku niewidzialnego, oczekiwanego pociągu. Również godna przeżycia i zapamiętania jest scena zamiany butów między Ojcem i Synem, będąca znakiem dojrzałości Syna, znakiem przekroczenia progu dorosłego życia.

Początkując się porównania, choćby i cząstkowe, poszerzają wyobraźnię. Superiusz Holoubka w warszawskim spektaklu, z woli reżysera i z właściwości aktorskiego talentu, zajmował większą przestrzeń teatralną, urzeczywistniał się na większej skali, jego arystokratyczna i paradoksalna umysłowość rozpinała się szeroko, od intelektualnej przewrotności do cyrkowej błazenady, od duchowego

wyrafinowania do brutalnego egoizmu w zderzeniu się z życiowymi niewygodami. Giżycki buduje postać Superiusza nie tak bogatą, za to bardziej skupioną, ostrzejszą, niemal bez dystansu wobec galopady dziwnych myśli i słów, ale chyba także postać czytelniej naznaczoną piętnem tragizmu, wpatrzoną w tajemnicę życia, której się nie da zagadać nawet najbardziej zwariowaną elokwencją. Giżycki z pewnością zaliczy tę rolę do swoich sukcesów.

Można powiedzieć, że nowohuckie „Pieszko” nie ma złych ról, zenujących, jakie zdarzały się tutaj. Być może, jubileusz to sprawił, że staranniej dobrano obsadę i sięgnięto po znanego, zdolnego reżysera. Groteskowo-tragiczna scena, w której uczestnicy wojennego pieszego wędrowania w poszukiwaniu nowego świata, nowej przyszości, do jakiej ma ich zawieźć symboliczny pociąg, szaleją w pijacko-tanecznej zabawie, a Syn patrzy z przerażeniem na wyczyny Ojca, zaś Superiusz ostrzy desperacko brzytwę — jest teatralnym majstersztykiem, stwarza napięcie, wywołuje uczucie grozy; może rywalizować z realizacją warszawską. Owa wojenna wersja „Tanga” tworzy znakomity obraz dramatyczny. Szkoda jedynie, że Porucznik Zieliński **Zbigniewa Zaniewskiego**, drań absolutny, oczywiście, jest tak kukielkowato wymuskany, tak komiksowo splaszczony. Razem z Drabem **Władysława Bułki** tworzą parę karykaturalnie nierzeczywistą. Pozostali aktorzy: **Maja Wiśniowska** (Pani), **Barbara Stesłowicz** (Baba), **Małgorzata Krachmal** (Dziewczyna), **Tomasz Poźniak** (Grajek), **Tadeusz Wieczorek** (Nauczyciel) — z wycuciem swego miejsca i roli wpisują się w całość spektaklu. Tylko po co reżyser kazał **Zdzisławie Wilkównie** (Bajadera), po zdarciu ze sceny wojennej powłoki, na ruchomym kole z desek, odstawiać lunatyczne płasy wśród goniących za nią innych osób dramatu? Żeby ironicznie wyrazić radość z wejścia w powojenną rzeczywistość?

Akt trzeci „Pieszko” jest dramaturgicznie najslabszy. W tym zlepku skeczów schematyczność, typowość zachowań i charakterów ociera się już niebezpiecznie o agresywny stereotyp, mogący przerodzić się w kicz. Przed pięciu laty w Teatrze Dramatycznym akt trzeci był bogatszy, bardziej urozmaicony teatralnie, scenograficznie. Powietrze drzące szumem i hukiem samolotów. Znad sceny, pod sufitem leciały w stronę widowni na żyłkach małe samolociki, leciały gęsto, równo, pomalą, zdobywco. Były chyba zielone, z czerwonymi gwiazdkami na skrzydłach. Za każdym ciągnęła się smużka z czerwonego papieru. Kiedy już przeleciały, zostały po nich te czerwone girlandki zasnuwające niebo. Ludzie podnosili głowy, rozumieć, śmiali się łagodnie. Postaci na scenie, ich język wzięty z nowomowy powojennej, propagandowo-gazetowy bełkot byłych inteligentów, przedzierzgniętych w aktywistów nowej rzeczywistości — wszystko to wzbogacone reżyserskimi pomysłami zdawało się pod tak zasnutym w równe pasemka niebem całkiem na miejscu. Teraz ta część przedstawienia jakby się skurczyła do kilku przygaszonych znaków, przystrojonych scenicznie tańcem pstrokatej Bajadery.

Nowohuckie „Pieszko” ma czysto zarysowane typy postaci. Ma ciąg momentów, które w syntetycznej paraboli znakomicie oddają sytuacje ludzi wędrujących po scenie życia, w strefie przejściowej, w oczekiwaniu na coś, co ma nadejść i okazać się lepszym, a okazuje się czymś bolesnie mizernym. Tak wygląda rozrachunek z przeszłością i teraźniejszością.

KAZIMIERZ KANIA

Teatr Ludowy w Krakowie: „Pieszko” Sławomira Mrożka. Reżyseria: Mikołaj Grabowski, scenografia: Kazimierz Wiśniak, muzyka: Stanisław Radwan. Premiera — marzec 1986.